N° 24.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 2 (14) Czerwca 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Od Redakcyi.

Z dniem 1 Lipca r. b. wydawnictwo „Opiekuna Domowego“ przechodzi w inne ręce.

Cena przedpłaty pozostaje taż sama, a mianowicie: w Warszawie miesięcznie k. 25, kwartalnie k. 75, półrocznie rs. 1 k. 50, rocznie rs. 3.— Na prowincyi kwartalnie rs. 1 k. 20, półrocznie rs. 2 kop. 40, rocznie rs. 4 k. 80. W tém mieści się już opłata pocztowa (za przesyłkę k. 11¼ oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾).

Od tegoż dnia, to jest, od 1 Lipca, bióro Redakcyi zostanie przeniesioném na ul. Chmielną, róg Nowego Swiatu pod Nr. 1260 *D*, (3 nowy) i od téj daty zatém wszelka korrespondencya, prenumerata i inne interessa tyczące się „Opiekuna“ pod wskazanym powyżéj adresem załatwiane będą; — do 1 zaś Lipca jeszcze przedpłata „Opiekuna“ na czas dalszy powinna być nadsyłaną pod dawnym adresem (ulica Solna, Nr. 715.) Co do potrzeby pośpiechu w takowéj przesyłce, Redakcya uważa za zbyteczne przypominać o niéj. Przeszle pismo tym tylko, którzy je mieć chcą, a dowodem chęci służyć musi jedynie uiszczenie się w czasie właściwym z naznaczonéj prenumeraty.

Co się tyczę kierunku i sposobu dalszego prowadzenia pisma, Redakcya „Opiekuna Domowego“ pospiesza z objawieniem intencyj swoich i poglądu na obowiązki powzięte przez siebie względem Publiczności

Dom, Czémże jest *dom*, w znaczeniu moralném? Rodziną — familiją.

Jest więc pierwszą i najprostszą formą społeczeństwa, pierwszą podstawą jego.

Pod mianem *społeczeństwa* rozumiemy nie *kastę*, nie *kółko* jakieś, służące jednéj myśli tylko i jednemu wyłącznemu celowi, ale... zbiór rzesz i stanów, słojów i stowarzyszeń stojących obok siebie i splątanych z sobą, na to tylko, by:



Mieszkańcy wyspy Rugii (str. 187).

z wiecznego ścierania się ich z sobą, wytwarzała się ciągła, wieczna i coraz większa zgoda;

by z ciągłego ich ruchu powstawał — spokój;

z ciągłéj walki — prawo, ład i porządek.

Tak rozumiemy społeczeństwo—

takiego społeczeństwa podstawą ma więc być *dom*—

dla tych różnych zajęć, stanów, rzemiosł i fachów, dom ma wychowywać pracowników, przygotowywać myślicieli,—ludzi.

Czémże zatém być powinna *opieka*, w duchu tym i w myśli téj nad *domem*?

Czy dobrzeby było, gdyby powiedziała do was:

„wywieszam chorągiew taką a taką“—

„przyjmuję pod nią tych a tych tylko“—

„nie podobają mi się wyznawcy téj szkoły“—

Albo, gdyby powiedziała:

„chcę ogół cały widziéć dyplomatami“—

„chciałabym, by wszyscy kupcami byli — i będę ich saméj uczyć buchalteryi“

innym razem:

„chcę mieć samych kaznodziei tylko“—

innym znowu:

„chcę mieć samych rzemieślników“?

— Odpowiedzcie sami.

W odpowiedzi téj będzie odpowiedź nasza.

Chcemy tego, czego wy chcecie.

Jesteśmy w zgodzie.

W piśmie naszém chcielibyśmy zbierać sam materyał tylko na *dobro* wasze; a *dobrem* nazywamy:

najpierw — *wiedzę*;

potem z wiedzy wypływającą—*miłość*;

w końcu, zrodzone z obu tych żywiołów —*światło*.

Te trzy rzeczy winny się znaleść w każdéj szpalcie naszego pisma i od was tylko zależéć będzie, aby ich było coraz więcéj i więcéj.

Przez to ostatnie powiedzenie nie żebrzémy o prenumeratę, ale nie taimy także, że ona jest koniecznym dla nas warunkiem wypełnienia wszystkiego, co przyrzekamy.

Przyrzekamy zaś rzecz, jak widzicie, prostą tylko, konieczną, powszednią, rzecz, która przynajmniéj za taką przez każde inne pismo uważaną być winna — *postęp*.

Powiedzą niektórzy: „to za elastyczne!“—„wyznajcie jawniéj czego chcecie“—„kogoście zaprosili do siebie“

i dodadzą:

„*pismo bez sztandaru to — pstrokacizna!*“

Odpowiémy znowu:

„Chcemy — światła; zaprosiliśmy do siebie tych wszystkich, którzyby cząstkę jakąkolwiek *jego*, w jakimkolwiek kierunku i po jakiéjbądź drodze wprowadzić do nas i wnieść między nas mogli“... a na zarzut *pstrokacizny* odpowiemy:

„Być może —

promień słońca jest też *pstrokatym*, bo mieści w sobie wszystkie siedm kolorów tęczy“

Nie mamy, jak widzicie, wielkich pretensyj —

chciéć zostać jednym promieniem słońca... chęci téj nikt w nas zganić bez niesprawiedliwości nie może i nikt do jéj urzeczywistnienia przeszkód nam stawiać nie zechce.

* * *

Co się tycze strony czysto artystycznéj pisma, Redakcya oświadcza, iż ma zamiar usilnie się starać o ulepszenie w niém wyboru i wykończenia illustracyj, wychodząc z zasady, iż w razie niemożności (przy nader nizkiéj, jaka jest, prenumeracie) zadośćuczynienia koniecznym przynajmniéj wymaganiom w tym względzie, lepiéj już jest *ilość* zastępować *jakością* a natomiast papier pozostający zapełniać dobrymi i pożytecznymi artykułami.

Tuszy zaś sobie, iż tych jéj nie zbraknie, przy ciągłém i chętném współpracownictwie uznanych talentów które już zaprosiła i jeszcze ma zamiar zaprosić do siebie.

Miłośnikom dobrych belletrystycznych utworów oznajmiamy wreszcie, iż jeszcze przed 1 Lipca, w przyszłym zaraz numerze Opiekuna, rozpoczynamy druk powieści angielskiéj, Miss Kavanagh p. t. „Druga miłość“ przekładu zdolnego pióra Wł. Bartkiewicza, i że wkrótce zamieścimy dramat Józefa z Mazowsza p. t. „Margraf Gero“, który na konkursie Krakowskim uznanym został wraz z innym dramatem „Gwiazdą“ za najlepszy, i tylko z powodu małych scenicznych usterek, należnego mu za prawdziwą wartość nie otrzymał premium.

Niezależnie od tych słów kilku, jako obecnie i na przyszłość Redaktor tegoż pisma — oznajmiam, iż ponieważ **Opiekun Domowy** przeszedł z rąk p. Adama Mieczyńskiego na własność innéj osoby, dla uniknienia więc wszelkich nieporozumień, zawodów i pomyłek, interesanci tak osobiście jak i piśmiennie raczą się od d. 1 Lipca r. b. zgłaszać do Redakcyi *tylko* pod wyż wskazanym adresem t. j. na ulicę Chmielną róg Nowego-Świata Nr. 1260 *D* (3 nowy).

Redaktor: **Franciszek Gumowski.**

METAMORFOZA.

W ducha mego wielkim, marmurowym kościele,
Form pogańskich, pięknych dziwnie, snuło się wiele...

Mirt biesiadny w splotach z cierniem boleści,
Szał namiętny z męzką, dumną powagą,
Łza, oprawna w uśmiech srebrny niewieści,
Jęk pod piersią wrzącą, łabędzią, nagą...

Dziś, gdy promyk jasny duszy jéj tam zapłonął,
Świat mój grecki w blasku tym jak sen się rozwionął.

ŚLICZNA KRÓLEWNA.

Marzeń moich sennych śliczna królewna,
Zawsze taka jasna, słodka i rzewna,
Jak noc letnia, kwieciem wonna i śpiewna,
Jak dzieweczki biednéj łza modlitewna.

Dumek moich tęsknych śliczna królewna,
Najpiękniejszym kwiatkom duszą pokrewna...
Czystość lilij bożych,— śnieżna, powiewna,
W obec serca jéj drży, siebie niepewna

Westchnień moich cichych śliczna królewna,
Jak ptaszyna zawsze kryje się drzewna,
Gdy ją spłoszy czarna chmura ulewna,
Chmura troski mojéj, ciężka, zła, gniewna.

Leonard Sowiński.

WYSPA RUGIJA.

Wyspa Rugija sławną jest przez swe starożytności Słowiańskie i przechowane podania o Światowidzie.

Leży ona na morzu Bałtyckiém, oddzielona od stałego lądu, z którym zapewne stykała się niegdyś, wązką na ćwierć mili cieśniną Göllen. Rozległość jéj wynosi 18⅓ mil kwadratowych, a ludność 46,000 mieszkańców, i wraz z kilku przyległemi wysepkami tworzy powiat Rügen, w prowincyi pruskiéj Pomeranii.

Kiedy w całych Niemczech rozprzestrzeniło się już na dobre Chrześcijaństwo, tutaj jeszcze przez 400 lat Słowianie bohatersko oddawali cześć swym pogańskim bogom. Długi czas wyspa ta należała do Szwecyi. Turyści najwięcéj odwiedzają Rugiją z przyczyny mnóstwa znajdujących się na niéj mogił i napisów runicznych — jako też dla cudnych, malowniczych widoków, ciągnących się od Arkony do Wittowa i Nordperdu.

Mieszkańcy głównie są rybakami i żeglarzami. Niektórzy z nich wyraźnie jeszcze dzisiaj, w odzieży, zwyczajach i języku, przypominają dawne Słowiańskie swoje pochodzenie, zwłaszcza na półwyspie Mönkgut. Stolicą wyspy jest m. Bergen.

KAMCZATKA.

Używając poetycznego sposobu wyrażenia się Schleidena, możemy powiedzieć: że przy pomocy ciepła i światła, natura na powierzchni ziemi zastawia tę wytworną biesiadę, któréj wyjątkiem jest wspaniale lecz bezwiedne życie roślinne. Na ucztę tę dążą w nieprzerwanym pochodzie niepoliczone tłumy pełzających, skrzydlatych i czworonogich gości, aby zaczerpnąwszy na niéj sił i energji, uzbroić się i stanąć do walki z tą gromadą istot, które przyroda uczyniła obojętnemi na przynęty potraw roślinnych. Tu wszczyna się bój zacięty, bój, w którym śmierć i życie łączą się nierozerwanemi ogniwami, aby niepojętą siłą na grobie zgasłych, nowym blaskiem zdolne do życia wzywać istoty. To życie natury od wieków i do nieskończoności rozwijające się na ziemi, nie we wszystkich jéj punktach z równą wrze siłą. Tam gdzie blask naszego słońca rzuca obfity zapas ciepła, bogactwo przyrody z niepojętym rozwija się przepychem; gdzie żar jego ognistym grzeje płomieniem, lub gdzie ukośne jego promienie słaby dla ziemi niosą zasiłek, tam i płody natury, jakby dotknięte tchnieniem zniszczenia, małe życia przedstawiają objawy. Z ogólném życiem przyrody byt człowieka nierozerwanymi połączony został węzłami; wszędzie, gdzie wegetacya rozwijać się zdołała, wszędzie on dotarł, osiedlił się i utrzymał; lecz jakże różne, jak rozmaite są warunki jego istnienia, tak ze względu na fizyczne jak i moralne tegoż podstawy! W ogóle tu powiedzieć możemy: że w zbiorowém działaniu przyrody, równie jak w życiu pojedynczych jednostek, gdzie obfite dary Nieba nieprzerwanym bez pracy i zabiegów płyną potokiem, tam rozwój sił umysłowych i twórczość przemyślna albo powolnie bardzo postępuje, albo zupełnie w bezwiednéj pozostaje bezczynności; tam gdzie natura wroga i nieprzychylna wszelkim działaniom ludzkim, srogiém zimnem gniecie objawy wegetacyi, tam człowiek w walce nierównéj upada i nędzne wiedzie życie, bo umiarkowany tylko klimat dozwala wszechwładnie rozwinąć się téj boskiéj iskrze ducha, którą rozumem zowiemy. Tu praca wieńczona zasłużoném powodzeniem, coraz nowe i silniejsze dla swego działania znajdując podstawy, daje obszerne pole do rozwoju przemysłu i kunsztów i obfite skarby ziemi dla dobra i szczęścia ludzkości przerabia.

Niedawno mówiąc o Oceanii, w umysłowéj naszéj wycieczce, opuściliśmy ląd stały i biegliśmy myślą przez obszerne Oceanów obszary, po za pas równika. Pójdźmy teraz w inną stronę. Nie opuszczajmy lądu stałego, a po rozległéj jego powierzchni dążmy na wschód ku północy, dopókąd nie dojdziemy do ostatecznego jego kresu, noszącego nazwisko Kamczatki, w kształcie półwyspu wysuniętego w wody Oceanu. Niełatwoby nam przyszło pomieścić, w obszerném nawet dziele, opis téj nadzwyczajnéj rozmaitości kraju, który w téj dalekiéj przebyć wypada wędrówce, tych miast wielkich i ludnych wsi, obszernych, ogromnych lasów, rzek i gór. W całéj téj wszakże przed oczyma naszemi przesuwającéj się panoramie, w miarę postępowania ku wschodowi, coraz mniéj znajdujemy rozmaitości, miasta i wsie coraz rzadsze, niezaludnione obszary coraz większe. Powodów tych zmian długo szukać nie potrzebujemy, uczuwamy bowiem wzrastającą srogość klimatu i dostrzegamy działanie wszechwładnéj dłoni natury, przeciwko któréj zaledwie wątły stawić mogą opór wszelkie usiłowania człowieka.

Dziwném zdaje się być, że miasta leżące na wschodzie w jednéj szerokości geograficznéj z miastami Europy zachodniéj, a zatém ogrzewane témże samem natężeniem promieni słonecznych, nadzwyczajnie wielkie przedstawiają różnice klimatologiczne. Itak np. Londyn i Irkuck leżą prawie w jednéj szerokości geograficznéj, pomimo tego wszakże średnia temperatura Londynu jest 10° nad zerem, Irkucka zaś pół stopnia poniżéj zera. Obszernie zastanawiać się nad przyczynami tych różnic w tém miejscu nie możemy; wspomnieć tu tylko wypada: że Europa łagodny swój klimat zawdzięcza szczęśliwemu swemu położeniu. Bliskość mórz i wiejące od nich wiatry, napełnione wilgocią, są jakby posłańcami niosącymi dla nas wspólnie z wodą upragnione ciepło.

Trzy są na naszym globie przeszkody, z któremi pragnący wszystko widzieć i poznać człowiek nieprzerwane wieść musi zapasy: niezmierne obszary Oceanów, zbyteczne natężenie gorąca i zimno. Pierwsza z nich, możemy powiedzieć, iż stanowczo usuniętą została. Przed dzisiejszym postępem znikła rozległość przestrzeni, lecz dwie drugie urągać się zdają wszelkim najsilniejszą wolą wspartym działaniom. Część Afryki przez równik przecięta, jak i okolice biegunów, podobno nieprzeparte stawiać będą zawsze przeszkody, dla chęci bogacenia nauki nabytkami w tych stronach świata zdobyć się mogącymi.

Kamczatka oddzielona od nas ze strony lądu trudnym do przebycia olbrzymim obszarem Syberyi, ze strony zaś morza pływającymi lodowcami Oceanu północnego, grożącymi zagładą wszelkim statkom, któreby odważyły się pełną niebezpieczeństw w te strony przedsiewziąść wyprawę, długi bardzo przeciąg czasu w liczbie ziem nieznanych była zamieszczona.

Zasłużony w nas budzą podziw i uwielbienie ci wszyscy żeglarze, którzy dla wzbogacenia nauki i korzyści społeczeństwa, z narażeniem własnego życia, w te najmniéj gościnne i nieprzeliczonemi niebezpieczeństwami grożące strony odważyli się zapuścić.

Był czas w którym nieprzeparta chęć robienia odkryć odległych i nieznanych ziem opanowała umysły wszystkich. Każdy kraj posiadający własną marynarkę uzbrajał okręty, do krążenia po nieznanych jeszcze morzach przeznaczone. Gdy inne narody wyprawy swoje zwykle ku południowi zwracały, dla Rosyi pozostało do rozwiązania jedno z najtrudniejszych zadań, mianowicie, opłynięcie i zbadanie Oceanu Północnego. W tym celu statki rossyjskie wyszedłszy w roku 1636 z Leny, opływały brzegi groźnego Oceanu północnego. Wybrzeża Oceanu wschodniego dosięgnięte zostały w r. 1639 przez Dymitra Kopiłowa. W latach zaś 1646 i 1648 Bomysłan i Deszniew, postępując od Kowymy do Anadyru, opłynęli dwukrotnie przylądek Czucki.

Wyprawy morskie w te strony ponawiały się często aż do początku wieku XVIII. Celem ich było rozstrzygnięcie kwestyi interesującéj, czyli północna Azya łączy się ze stałym lądem Ameryki, lub też czy jest od niego oddzieloną morzem lub cieśniną? Część tego zadania rozwiązali Rossyanie, dostrzegłszy w roku 1724 obszerny ląd podbiegunowy. Dopiero wszakże w roku 1728 Bering rozpoznawszy całe brzegi Kamczatki, dał pewniejsze pojęcia o cieśninie od jego nazwiska Beryngską nazwanéj. W roku 1741, Bering dla czynienia dalszych spostrzeżeń wypłynął z kamczackiego portu Petropawłowska. Przeciwne wszakże wiatry zapędziły go zbyt daleko ku brzegom amerykańskim. Próżno usiłował on powrócić do odkrytéj przez siebie cieśniny, burze i wichry oddalały go od zamierzonego celu. W walce z rozhukanymi żywiołami przeszła łagodniejsza pora roku i zbliżył się miesiąc Listopad. Wypadało koniecznie wracać do Kamczatki. Lecz srogość zimna wywołała na okręcie chorobę, któréj uległ i sam dowódca. Zaledwie zdołano dopłynąć do małéj wyspy, niezbyt odległéj od kamczackiego brzegu, Bering w dniu 3 Grudnia życie zakończył.

Prawie męczeńska śmierć Beringa nie wstrzymała dalszych w tę stronę wypraw. Sławny Kok przepłynął niebezpieczną tę cieśninę i posunął się aż do 70°—74° szerokości; lecz lody i burze zniewoliły go do zaniechania dalszéj wycieczki.

W czasie swéj ważnéj i obfitéj w odkrycia morskie podróży, znakomity żeglarz ruski Otto Kotzebue, przebywszy na okręcie

Ruryk cieśninę Beryngską, odkrył wyspy nazwane przez niego: Radak, Rumianców, Spiridów, Kruzenstern, Ruryk i wiele innych.

Przyjrzyjmy się teraz samej Kamczatce. Srogość klimatu, o którym wyżéj wspomnieliśmy, silnie panuje na tym półwyspie. Zima trwa tu zwykle 9 miesięcy, po któréj następuje krótko-trwałe lato, przy nadzwyczajném gorącu szybko rozwijającą się pobudzające wegetacyą. Pomimo to wszakże zbyt krótki przeciąg czasu dogrzewające słońce, nie przenika swém ciepłem daleko pod powierzchnię ziemi.



Fig. 1. Ciernik zakładający gniazdo.

Położenie kraju w ogólności jest górzyste. Znajduje się tu 16 gór wulkanicznych, z których wymienimy najwyższe: Kluczewska, równie wysoka jak Pik na Teneryffie, Streleszaja Sopka, podług Kieferstejna na 8,200 stóp, podług zaś doktora Horna na 10,704 stóp nad powierzchnię morza wzniesiona; najbardziéj wszakże na uwagę zasługująca jest Kamczackaja, która podług Ermanna o 90 stóp przewyższa górę Mont-Blanc, albowiem wznosi się na 14,790 stóp nad powierzchnię Oceanu. Podług obserwacyj tegoż uczonego, granica wiecznych śniegów w Kamczatce jest w wysokości 4,900 do 5,100 stóp.

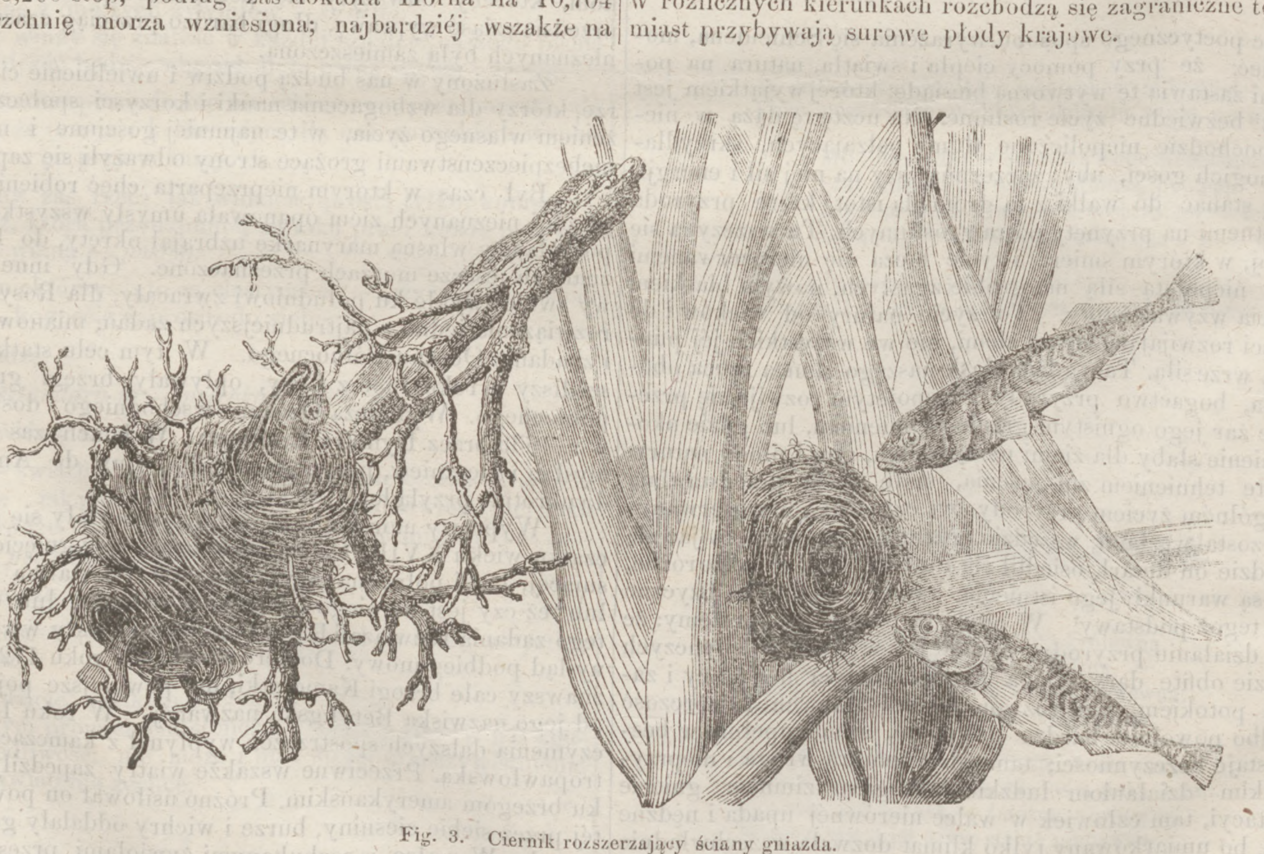


Fig. 3. Ciernik rozszerzający ściany gniazda.

Główna rzeka przecinająca półwysep, nosi także nazwisko Kamczatki. Płynie ona od południo-zachodu ku północo-wschodowi, a przebiegłszy drogę 140 mil, wpada do morza Beringskiego, koło Niżnego Kamczacka.

Miasta tutejsze posiadają oddzielną swoję charakterystykę. Składają się one prawie wyłącznie z domów drewnianych, wpośród których wznoszą się gdzieniegdzie cerkwie i gmachy rządowe. Trzy główne miasta wymienić tu możemy— mianowicie:

Niżnij Kamczack, będący rezydencyą naczelnych Władz duchownych całéj prowincyi.

Petropawłowsk, albo Awacza, jest głównem portowém miastem całego półwyspu; a lubo ludność jego bardzo jest mała, bo nie dochodząca nawet 1000 mieszkańców, posiada jednakże dosyć domów prywatnych i rządowych, ozdobnie zbudowanych, pomiędzy którymi na uwagę zasługuje gmach komory. Port tutejszy uważany jest za bardzo dogodny i bezpieczny.

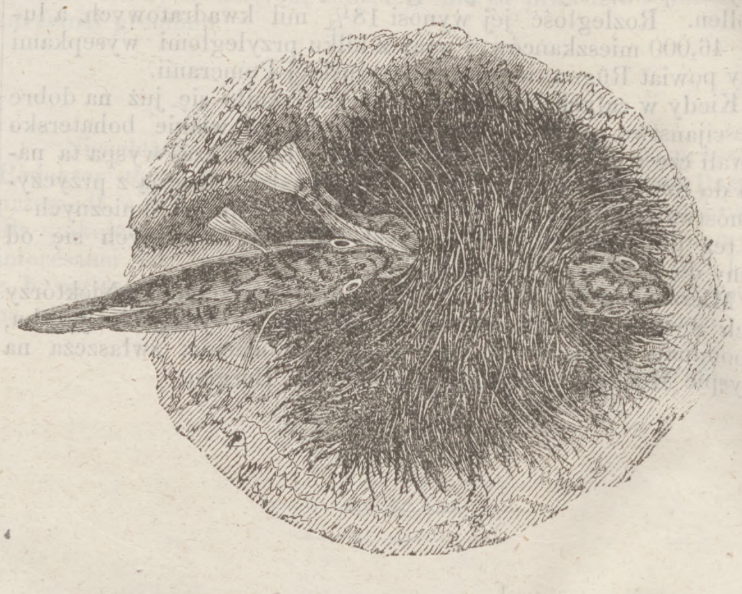


Fig. 2. Ciernik przed gniazdem w czasie składania ikry przez samicę.

Bolszereck, jest małém miasteczkiem posiadającém kilkadziesiąt domów, zbudowanych z drzewa nieciosanego i krytych słomą. Jest on głównym puktem handlu kamczackiego; z niego bowiem w rozlicznych kierunkach rozchodzą się zagraniczne towary a natomiast przybywają surowe płody krajowe.

Natura zdobiąc powierzchnię naszego globu w nieskończoną różnorodność istot zwierzęcych i roślinnych, nadała każdéj z nich nietylko oddzielne cechy charakterystyczne, lecz zarazem układ ich zastosowała ściśle do klimatu téj części ziemi, w któréj stale przebywać są przeznaczone. Wyjątek od téj zasady stanowi człowiek. W budowie jego nie dostrzegamy nic takiego, coby czyniło go zdolnym do przebywania w któréjkolwiek strefie ziemi, bez ciągłéj walki z naturą. Mieszkaniec skwarnéj Afryki, lub Azyi, pozornie obojętny na działanie żaru słonecznego, cierpi od niego widocznie i często kończy swe życie w zabójczéj epidemii, znanéj jedynie w miejscowościach przez niego zajętych. Europejczyk dumny cywilizacyą, zmuszony jest szukać pomocy w życiu sztucznem, które jak dzielny puklerz chroni go od wszelkich zmian atmosferycznych. Mieszkaniec północy przed groźném zimném instyktowo przywdziewa grube odzienie z futer, lecz pozbawiony pomocy rękodzielniczego przemy-

słu, zniewolony wieść życie pełne trudów i niewygód, w ciągłéj trosce o zaspokojenie najpierwszych swoich potrzeb, niezdolny do przyswojenia dla siebie koniecznych rzemiosł i kunsztów, upada fizycznie i moralnie i ustępuje swojego miejsca Europejczykowi goniącemu w najodleglejszych częściach ziemi za przemysłem i handlem. W ostatniém położeniu znajdują się mieszkańcy Kamczatki. Niegdyś liczono ich do 15000, lecz obecnie liczba ich zmalała nadzwyczajnie, dochodzi bowiem tylko do 3000. Są oni wzrostu nizkiego, lecz silni i zręczni, pozornie z zupełną obojętnością znoszący całą srogość klimatu; kobiety mają cerę śniadą, lecz płeć delikatną, ręce i nogi małe, kibić zgrabną. Lud ten w ogóle jest dosyć pojętny, posiadający szczególną zdolność do naśladowania wszystkiego. Być może że stosunki z kupcami i przemysłowcami ruskimi, których liczba tu ciągle wzrasta, wyrobić w nich zdołają dążność do kształcenia się, wpoją zasady moralności i złagodzą na wpół dzikie ich obyczaje; dotąd wszakże pojęcia jakie za sobą prowadzi ustrój społeczny i warunki towarzyskiego życia, nie znalazły tu przystępu. Ciągłe używanie ryb solonych i ostrość klimatu, uczyniły temperament Kamczadanów gwałtownym, skłonnym do rozpusty i wszelkiego rodzaju nadużyć. Krótkotrwałe lato, w ciągu którego mieszkańcy tutejsi chętnie przebywają wśród lasów, schodzi im na uciechach noszących cechę starożytnych bachanalij.

Jedyném zwierzęciem którego do posług swoich używa mieszkaniec Kamczatki, jest pies, rodzaju zwanego przez naturalistów Canis Sibiricus. Piękna i silna jego budowa dozwala mu zastępować konia i renifera. Przewyższa on ostatniego szybkim biegiem i zwinnością. Przy jego pomocy odbywają tu podróże i przewożą towary. Pies dobrego gatunku może ciągnąć do 160 funtów ciężaru, robiąc dziennie około 6 mil drogi, może nawet przebiegać do 10 mil, jeżeli po przybyciu na miejsce dozwolonym mu będzie kilkodniowy wypoczynek. Dla przewiezienia trzech podróżnych wraz z pakunkiem, zaprzęgają do sanek zwykle czterech psów. Woźnica w czasie podróży używa rzadko w pomoc bicza, lecz niesforność sprzężaju, wywołującą jego nie zadowolenie, dopiero po przybyciu na miejsce karze plagami. Pożywienie psa sybirskiego stanowią ryby suszone.

Tak więc pies, przy małéj swojéj mocy muskularnéj, zastępuje w Kamczatce te wielkie siły pociągowe, jakie Europa dla zadosyćuczynienia wymaganiom swoim, używa na drogach bitych i kolejach żelaznych. Wielkość siły przewozowéj jest miarą widoczną produkcyjnéj działalności kraju. W Kamczatce jest ona obecnie jeszcze bardzo małą; lecz być może że po niedługim upływie czasu usiłowania dążące do obszernego rozwoju przemysłu, dosięgnąć zdołają i tego, daleko od głównych ognisk oświaty leżącego, półwyspu.

Pozostaje nam jeszcze chociaż parę słów powiedzieć o wyspach ważniejszych, rozrzuconych obok wschodniego wybrzeża Syberyi.

Wyspa Bering, nosząca nazwisko od znakomitego szwedzkiego żeglarza, o któréj już wyżéj wspomnieliśmy, jest bezludną i w zupełności pozbawioną drzewa.

Miednoj ostrów, nazwana od znacznéj ilości miedzi rodziméj, znajdującéj się na północném jéj wybrzeżu, jest również bezludną: przebywa na niéj mnóstwo lisów niebieskich, i wypoczywają na niéj wydry i krowy morskie.

Wyspy niedźwiedzie, niedaleko Czuckich wybrzeżów, nie są zupełnie pozbawione roślinności; lecz dwie wyspy: Igelin i Imaglin, w cieśninie Beringskiéj, tak słabą posiadają wegetacyą, że mieszkańcy ich zastępują drzewo kośćmi wielorybów.

K. Milkuszyc.

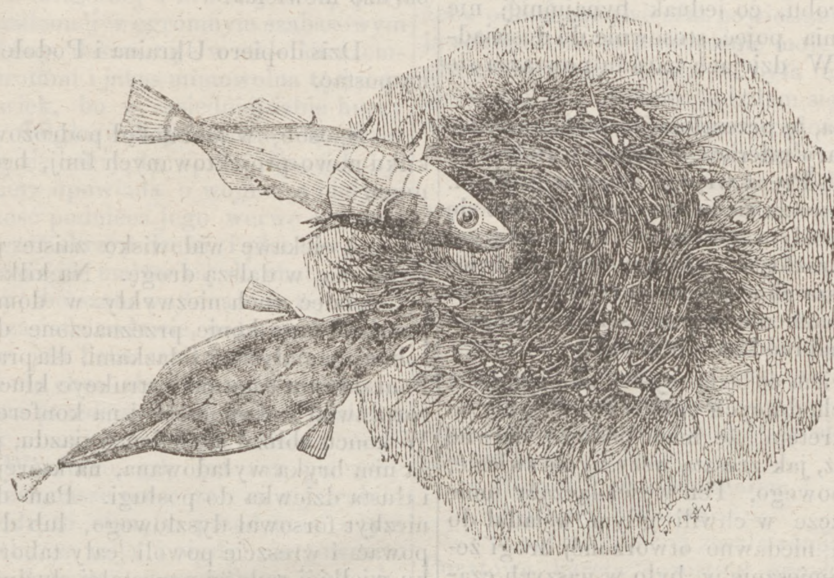


Fig. 4. Ciernik wprowadzający samicę do gniazda.

CIERNIK.

Z pomiędzy mnóstwa ryb zamieszkujących wody naszych rzek i strumieni, jedną z najbardziéj ciekawych pod względem sposobu życia jest Ciernik. Drobna ta rybka, dorastająca zaledwie 3 do 4 cali długości, na pokarm dla ludzi wcale nieprzydatna, odznacza się szczególną troskliwością z jaką buduje gniazdo, w którém samica swą ikrę składa.

Samiec bardzo starannie zajmuje się budową gniazda: zbiera na dnie piasek, którym oblepia nitkowate porosty wyściełające dno wody i skręca je za pomocą drobnych kolców, pokrywających jego ciało; dla większéj mocy i trwałości skleja to jeszcze lepkim płynem sączącym się z powierzchni skóry, robi w gniazdku dwa otwory, włazi do środka i obraca się wirowym ruchem, dopóki dostatecznie ścian gniazda nie rozszerzy; wtedy wprowadza do niego samicę, która tam ma ikrę złożyć. Gdy to nastąpi, samica opuszcza gniazdo a samiec zalepia otwory, pilnie strzegąc jego całości i zawartéj w niém ikry. Opieka nad świeżo wylęgniętemi rybkami należy do obowiązków samca, gdyż samica, wcale się o potomstwo swoje nie troszczy, a nawet pożarłaby własną ikrę, gdyby samiec nie czuwał nad jéj bezpieczeństwem. Spełnia on zatem gorliwie te obowiązki, które u innych ryb i zwierząt zwykle są udziałem samic.



Fig. 5. Ciernik pilnujący gniazda.

Cierniki rozmnażają się bardzo szybko, ztąd też stają się prawdziwą plagą wód które zamieszkują. Nieprzydatne na pokarm dla ludzi, przez rybaków są pogardzone; zbrojne ostremi chociaż drobnemi kolcami nie dają się pochwycić większym drapieżnym sąsiadom, jak szczupaki i okonie; same zaś rzucają się na większe ryby, skubią je za płetwy i póty im dokuczają, aż je do ucieczki zmuszą. Najlepszym środkiem oczyszczenia z nich wód, w których zbytecznie się rozmnożyły, byłby ich połów, w celu użycia ich na nawóz.

LIST Z GUBERNII PODOLSKIÉJ.

„Stoicie uparcie jedną nogą w przeszłości, chociaż pozornie rwiecie się wiecznie naprzód“—mówił mi raz, pewien stary reformator, bardzo głośny przed laty, zapomniany potem powoli, a prawie nieznany dzisiejszemu pokoleniu.

W życiu pojedynczego człowieka, odparłem, wspomnienia młodości towarzyszą mu aż do grobu, co jednak bynajmniéj nie przeszkadza umysłowi do zmieniania pojęć, stosownie do doświadczenia, przychodzącego z latami. W dziejach narodu powtarza się toż samo.

Właśnie, że ją wyrzucić trzeba, tę przeszłość, tę pamiątkę niedojedzoną przez myszy, zawołał stary gderacz. Z niéj to rodzą się więzy, krępujące rozwój ludzkości. Precz więc ze staremi grotami. Idźmy naprzód, nie oglądając się po za siebie, nie zachwycając się gmachem wpół rozwalonym i porosłym chwastami. Na nowym gruncie budujmy nowy gmach przyszłości, a budujmy go ze świeżych materyałów; bo jeśli się wmięsza choć jedna stara cegiełka, to znowu mimowolnie zostanie wspomnienie przeszłości, zmuszające myśl do cofania się wstecz, a nam naprzód iść potrzeba!

Otóż, łaskawi czytelnicy, nie wiem co będą myśleć moi synowie; jest to nawet jedna z najmniéj obchodzących mnie kwestyj, ale co do mnie, wyznaję, pod wielkim sekretem, że mam jeszcze dziwne przywiązanie do przeszłości, chociaż, jak zresztą wszyscy na świecie, uważam siebie za człowieka postępowego. Ten węzeł łączący mnie z minioném, uwidocznił się raz jeszcze w chwili gdym wsiadał do wygodnego i eleganckiego wagonu, niedawno otworzonéj drogi żelaznéj, łączącéj Kijów z Odessą. Śmiesznieby było w naszych czasach mówić o użyteczności kolei żelaznych; i ja też bardzo się cieszę z możności szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce, a jednak dziwnym jest dla mnie widok lokomotywy dymiącéj na Ukraińskich równinach, wśród wonnych lewad i ogrodów Podola. Na widok wyprzedzającego go parowozu, kozak Malczewskiego, pędzący na szybkim koniu w zawody z wiatrami, zajechałby z rozpaczy do karczmy, piłby trzy dni, przepiłby konia i z nahajem w ręku powróciłby do domu, a Wojewoda nie dowiedziałby się tak prędko o wybrykach synalka. Koléj żelazna zmienia nie tylko warunki życia, ale i warunki poezyi. Niegdyś, kochanek Lenory zdziwił ją niepomału szybkim pędem karego jak noc rumaka. Dziś, nie sprawiłoby to na niéj wrażenia, bo żywi jeżdżą prędzéj od umarłych, a pierwszy lepszy towarowy pociąg, prześcignąłby od razu Bürgerowskiego rumaka. Nowych więc sposobów potrzeba na poruszenie serc niewieścich, nowych form do pisania czułych ballad o kochance i kochanku. Jakim to poetycznym urokiem otoczone było dawniéj wykradzenie! Kopyta końskie tętniały wśród ciemnéj nocy, pogoń pędząca po lesie utykała na pieńkach i kręciła karki, gwoli łatwiejszéj ucieczce mdlejącéj dziewicy i wzruszonego lecz nieustraszonego młodzieńca. Było to bardzo pięknie, a wierszokleta opiewający takowy wypadek miał tysiące pięknych obrazków na przygotowiu, mnóstwo strof rozczulających serca słuchaczy. Teraz, przy nowych warunkach jazdy, musiałby już pisać w następujący chyba sposób:

Spiesz, nim się mama obudzić zdoła,
Kochanek ciebie wzywa.
Spiesz, pociąg czeka, konduktor woła,
Gwiżdże lokomotywa.

Mówisz: świat tego nie puści płazem;
Cóż znaczą świata hałasy,
Dla tych, co pędzą dłoń w dłoni razem,
W wagonie pierwszéj klasy?

Pocałowaniem gorącém, długiém,
Ja bojaźń twoję ukoję,
I polecimy, jak wiatr, sznelcugiem,
Szczęśliwi... ach... tak, we dwoje i t. d.

Wązki pas kolei, przecinając kraj monotonną liniją, zmienia go do niepoznania. Dawne centra handlu zostają opuszczone powoli, a ruch cały gromadzi się w koło nowo utworzonych punktów. Czumackie szlaki, zapełnione szeregami wozów z rogatymi wołami, wkrótce stracą swój charakter, a zasmolona postać czumaka ustąpi szczęśliwszéj parowéj współzawodniczce.

Nigdzie może różnostronne skutki kolei nie uwydatniły się równie wybitnie, jak na Ukrainie. Dotąd zachowała ona bardzo wiele cech charakterystycznych, i oprócz niektórych fabrycznych okolic, z wypiętrzonymi kominami cukrowni, reszta kraju posiada jeszcze odwieczną swoję powierzchowność. W szczegółach wprawdzie można dopatrzeć wiele różnicy, lecz ogólny jéj charakter zmienił się bardzo niewiele.

Dziś dopiero Ukraina i Podole zaczynają przybierać odmienną postać.

Sposób, w jaki dotąd podróżowaliśmy, wkrótce przy budowie kilku nowo-projektowanych linij, będzie należał do świata legendonego.

A ciekawe widowisko zaiste przedstawiał ziemianin, jadący z rodziną w dalszą drogę. Na kilka dni przed wyjazdem dawał się już widzieć ruch niezwykły w domu. Przed kuźnią opatrywano powóz i kuto konie przeznaczone do podróży. Dziewczęta garderobne uganiały się z żelazkami, dla prasowania panieńskich spódniczek. Pani dawała ostatnie instrukcye klucznicy, pan dłużéj niż zwykle rozprawiał z ekonomem i na konferencye zamykał się z arendarzem. W końcu zbliżał się dzień wyjazdu, powóz się zataczał przed ganek, za nim bryka wyładowana, na któréj pompatycznie zasiadał kucharz i tłusta dziewka do posługi. Pan dawał przestrogi woźnicy, aby niezbyt forsował dyszlowego, lub drążkowemu nie pozwalał galopować i wreszcie powoli cały tabor wyruszał za bramę dziedzińca, ku wielkiéj radości pozostałéj służby, ciągnącéj natychmiast do karczemki. Podróż się odbywała bez pośpiechu, bo na noclegach i popasach urządzano się jak w domu. Żydowski zajazd, jedyny przytułek podróżnych, napełniał się ruchem i gwarem. Przewietrzano pokoje, zwinny żydek, tak zwany *myszures*, zwijał się jak mucha w ukropie, zamiatając podłogi, wypędzając zasmolonych bachurów i nosząc siano na posłanie. W kuchni trzaskał ogień, a chwiejący się na nogach kucharz przyrządzał jadło dla państwa i panienek, dopytujących się pilnie czy mleko nie jest czasem od żydowskiéj krowy. Podróżująca rodzina mogła się uważać prawie w domu; ciż sami służący ją otaczali, to samo nakrycie stawiano na stole, a nawet zajazd nie był im obcym, ponieważ zwykle jest jakiś uprzywilejowany Lejba lub Froim, do którego się zawsze zajeżdża. W skutek dawnéj znajomości właścicielka zajazdu przychodzi na gawędę, wypytuje o urodzaje, zachwyca się bardzo *szprytnym* synkiem i cmoka językiem, patrząc na panienki.

„Bardzo prześliczne córeczki dał Bóg państwu. Wszyscy panowie nie mogą się nachwalić... Niedawno pan Adwerd popasał u nas, to ciągle mówił, że takich fajn antycznych panien nigdzie nie widział. Może on do któréj panienki tego“?.. dodaje szanowna Ryfka, konfidencyonalnie nachylając się do ucha pani, zajętéj rozlewaniem herbaty.

„Pan Edward nie myśli o tém, odpowiada pani, a zresztą moje córki są jeszcze za młode.“

„Nu, to właśnie git, że młode, jak się zestarzeją to będzie bardzo kiepsko. Ja, z przeproszeniem, życzę pana Adwerda na zięcia, bo to porządny obywatel i delikatny kawaler.— Pan Marszałek chciał wydać za niego swego Anielcię, ale wun i patrzeć nie chce. Panna Anielcia bogata, ale krzywoboka i ma brodawkę na samym końcu nosa, a nasze panienki i ładne i chwalić Pana Boga tatko także ma pieniądzów.“

W ten sposób cały wieczór upływał na statecznym dyskursie, a nazajutrz wyspani państwo puszczali się w dalszą podróż, napomniani przez Ryfkę, aby z powrotem do niéj zajeżdżali.

Nudna to jazda: parę dni starczyło zaledwie na ujechanie dziesięciu mil, ale w towarzystwie i przy pięknéj porze roku miała i ona swoje przyjemności. Niejedna z takich powolnych podróży pozostawiła mi dobre wspomnienie; lecz za to — ileż to razy zdarzyło się przeklinać ten pierwotny sposób przenoszenia się z miejsca na

miejsce, kiedy na trzęsącym wózku pocztowym, otoczony tumanami pyłu, przebiegałem monotonne drogi pocztowe. Ileż to razy także, w przezroczystéj jak sito budzie żydowskiéj, wlókłem się po błocie, z wodą za kołnierzem i jesiennym wichrem, wyjącym po szerokiéj równinie. Koniska z desperacką miną, zaledwie ruszają nogami, a brzęcząca bryka posuwa się powoli, dopóki jaki wzgórek nie stanie jéj na przeszkodzie. Sapiące i dymiące konie zatrzymują się z mocném postanowieniem nie ruszania się z miejsca, zrospaczony żydek cmokaniem i szarpaniem lejców nadaremnie stara się dodać animuszu upartym pegazom. W takim wypadku najbliższa traktowa karczemka staje się portem dla osiadłego na mieliznie korabia, a podróżny spędza miły wieczór w wilgotnéj i brudnéj izbie, przy swietle cienkiéj łojowéj świeczki, osadzonéj w ogromnym szabasowym lichtarzu. I wloką się długie godziny, deszcz bije w małe karczemne okienka, zmokłe psy wyją pod wrotami i jakaś mimowolna tęsknota ogarnia duszę. Sen nie skleja powiek, bo w sąsiedniéj izbie huczy gwar zgromadzonych pijaków. Odgłosy bójki dochodzą przez cienką ścianę, potem znów rozlega się ochrypły śpiew pijanéj baby; w innym znowu kącie jakiś żołnierz opowiada o wojnie z białymi arabami, a zgromadzona publiczność podniecą jego werwę częstemi libacyami. Po chwili daje się słyszéć skrzyp drzwi i płaczliwy kobiecy głos, wzywający podchmielonego małżonka do chaty. Ale jest to głos wołającego na puszczy, bo szanowny mąż w téj chwili właśnie zastawił buty u żydówki i zasiada na ławie, pożerając oczami pełną butelkę, a żonie dowodzi, że jest baba czyli głupia, powinna zatem powracać do domu, jeżli nie chce aby kij był w robocie. W takich podróżach, kolej żelazna przedstawia się jako wynalazca bogów, a brak tego sposobu lokomocyi wywołuje czasem wcale nie parlamentarne wykrzykniki. Wszelako, gdy po raz pierwszy ujrzałem lokomotywę, pędzącą przez nasze pola, żal mi się zrobiło dziewiczości Ukrainy, a długie podróże stanęły przedemną z tym urokiem, opromieniającym wszystko co mija i nigdy nie powraca. Bezwątpienia, że wolę spokojnie drzemać w wygodnym wagonie, niż moknąć wśród stepu, lub leżeć w błocie, wraz ze złamaną taradajką; lecz znowu z innéj strony, oddałbym wszystkie koleje Europy, za jedną drożynę, wijącą się wśród zielonych łanów Ukrainy, gubiącą się w lasach i dolinach Podola. Zamiast długiego szeregu, niezaprzeczenie pożytecznych, telegraficznych słupów, wolę patrzeć na bielejący krzyż na kurhanie, na topole i wierzby pochylone nad stawem, obok szumiących łotoków poczerniałego i schylonego młyna.

Zapisałem parę ćwiartek papieru, medytując o kolei żelaznéj. Niejeden się zadziwi, jak można dziś jeszcze mówić o takim oklepanym przedmiocie. Lecz co dla czytelników, daléj ku zachodowi posuniętych, wyda się opowiadaniem o śmierci królowéj Bony, to dla nas posiada jeszcze pewien urok nowości. Chcąc się trochę wytłumaczyć, dla czego tak szeroko się rozwodziłem nad dawno znanemi rzeczami, przytoczę opowiadanie, które choć w części usprawiedliwi mię w oczach szanownych czytelników i pięknych czytelniczek. Dodaję nawiasem, iż wszytkie czytelniczki są dla mnie piękne, ponieważ nie żałują oczek dla czytania moich bazgranin. Każdy bowiem piszący rad być czytanym, a więc i mnie literatowi *in partibus infidelium* potrzeba przebaczyć tę niewinną słabostkę. Ale wracam do opowiadania, ponieważ świeca się dopala i za kilka minut ciemności mnie okrążą; przy księżycu zaś można śpiewać u nóg kochanki, ale pisać niepodobna.

Otóż, pewien Poleszuk, włócząc się po lesie, znalazł parę butów. A że na Polesiu zwykle używaném obówiem są łapcie z lipowéj kory, nie mógł się więc domyśléć, do czego ten skórzany przedmiot służyć może. Ostrożny mieszaniec lasów, naprzód uderzył kijem leżące buty. Potem podrażnił je głosem, aby się dowodnie przekonać, że nie należą do gatunku kąsających zwierząt. Następnie wziął je do ręki i po długiém przypatrywaniu się, zakonkludował, że to są pochwy na siekierę. Lecz, za powrotem do domu, kum bywalec wyjaśnił mu, iż istnieją oryginalne kraje, w których te skórzane futerały używane są zamiast łapciów. Poleszuk wdział buty i przechadzając się ostrożnie, powtarzał w zadumie: *czoho to lude ne wydumajut!*—czego to ludzie nie wymyślą! Dla nas, żyjących w dalekiej głuszy, kolej żelazna jest wynalazkiem równie nowym, jak buty dla Poleszuka. Patrząc więc na gwiżdżącą lokomotywę, mimowoli zatrzymujemy się, powtarzając: *czoho to lude ne wydumajut!*

Tomasz Zawadyński.

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

(Dokończenie)

Nazajutrz obudziłem się bardzo rano. Otworzyłem okno żeby odetchnąć świeżém powietrzem, wychyliłem głowę, lecz prędko ją schowałem, bo powonienie moje uderzyły takie wonie, że nie mogłem oddychać. Godzina była czwarta. Od czwartéj przeto do pierwszéj po południu nudziłem się; nie wiedziałem co z sobą robić; nie doznawałem najmniejszéj radości przy zbliżaniu się téj uroczystéj chwili; jakieś złe przeczucie mnie dręczyło.

O pierwszéj, garsony wzięli się do pakowania tłomoków, a *maitre d'hotel* przyniósł długą notę i prosił mnie grzecznie, abym na ogólną sumę, wynoszącą już ośm tysięcy franków. podpisał weksel, płatny o trzeciéj. Żądanie jego wydało mi się bardzo słusznem. Przejrzałem więc skrupulatnie rachunki i podpisałem. W wekslu było zastrzeżenie, że gdybym wyż wymienionéj kwoty w oznaczonym terminie całkowicie nie wypłacił, odpowiadam własną osobą. Pytałem, do czego to zastrzeżenie.

— Dla prostéj pewności... — otrzymałem odpowiedź. — Dla tego, ażeby pana natychmiast posłać do *Clichy*, gdybyś nie chciał lub nie mógł zapłacić...

Mimowolnie westchnąłem.

O drugiéj ubrałem się.

O pół do trzeciéj zaszła remiza i wraz z nią pocztowa kareta. Pocztowa kareta pozostała przed hotelem dla zabrania tłomoków, a do remizy wsiedliśmy: ja, Jaksa i na przodzie *maitre d'hotel*.

Kiedy konie ruszyły, doznałem takiego uczucia, jakiego doznawać musi człowiek, którego na plac egzekucyi wiozą. Przechodziło mnie nawskróś jakieś niemiłe łechtanie.

Wysiedliśmy przed merostwem okręgu Pól Elizejskich, noszącego, jeżeli się nie mylę, numer ósmy. W téj saméj chwili zajechały trzy pojazdy, z których w każdym siedziało po dwie osoby. Pomiędzy temi osobami, tylko pan Cochon, pani Cochon i panna Filipina były mi znane. Inne zaś dwie panie i jednego jegomościa w wieku średnim — pierwszy raz w życiu widziałem. Uderzyły mnie ich stroje i ich miny: pierwsze wcale nie świeże, drugie bynajmniéj ufności nie wzbudzające.

Panna Filipina miała na sobie białą suknię i zielony na głowie wianuszek.

* * *

Weszliśmy do merostwa z całém towarzystwem.

W obszernym pokoju stało i siedziało kilku żandarmów. Po przejściu tego przedpokoju weszliśmy do izby, w któréj, za długim stołem ujrzałem człowieka poważnego i siwym już okrytego włosem. Kilku urzędników zajmowało miejsca za pomniejszymi stołami.

Kiedyśmy przed siwym stanęli człowiekiem, ten podniósł się— spostrzegłem że był przepasany szarfą — lekko się nam skłonił, następnie usiadł i, odbierając kontrakt szlubny z rąk pana Cochon, począł go szybko oczami przebiegać. Czytając, podniósł na mnie nagle wzrok, popatrzył mi pilnie w oczy i zapytał:

— Panie młody, czy znasz treść kontraktu?

— Nie czytałem go... — odparłem.

— Pan mer nie pyta pana, czyś czytał, ale czy treść znasz...— wsunął pan Cochon — a treść przecie doskonale jest panu znaną...

Była to nieprawda, bom wyobrażenia o niéj nie miał. To mnie uderzyło.

Mer, nic na moję odpowiedź nie odrzekłszy, przebiegał papier oczami do końca. Skończywszy, wręczył mi kontrakt i powiedział tonem, w którym brzmiała życzliwość.

— Radzę panu odczytać to i dobrze się zastanowić...

Ukazał mi stołek w głębi postawiony. Usiadłem i w czytaniu się zagłębiłem.

Był to akt notaryalny, który podobno niewłaściwie do rąk mera się dostał.

Bardzo żałuję że nie posiadam kopji tego dokumentu, który, ni mniéj ni więcéj, tylko wyzuwał matkę moję z jéj praw dożywocia, ó na jéj miejsce wprowadzał jakieś osoby nieznanego mi nazwiska, wymienione w tym dokumencie, jako rodzice panny Filipiny. Po-

sag gotówką wynosił dwanaście tysięcy franków; reszta zaś, w ilości nie stu, a dwustu tysięcy, była prostém przyznaniem się do długu względem mojéj żony, zahipotekowanego na Kopystyńcach. Od téj sumy płacić miałem procent po sześć od sta, w połowie mojéj żonie a w drugiéj połowie jéj rodzicom, którémi nie byli państwo Cochon.

Co by to miało znaczyć, nie mogłem się zrazu połapać.

Same warunki kontraktu nie tyle mnie dziwiły, ile doskonała moich domowych stosunków znajomość, którą w Paryżu posiadał sam tylko Jaksa. Żeby warunkom tym zadość uczynić, potrzeba było na matce mojéj wymódz zrzeczenie się dożywocia. Nie cała jednakże rzecz opierała się na tém wymożeniu, które jeżeli sobie początek opowiadania przypominacie, było dla mnie bardzo łatwém. Było bowiem zastrzeżenie, że, jeżelibym matki nie zdołał wyzuć na rzecz jakichciś państwa o podejrzanych minach, w takim razie procenty miały się kapitalizować i, jako proste długi względem rodziców mojéj małżonki, obarczać hipotekę Kopystyniec, aż do śmierci méj matki, śmierci naznaczonéj jako termin ryczałtowego owych długów spłacenia.

Słowem, treść tego kontraktu zmieniała mnie, na całe życie, w niewolnika, w ekonoma żony mojéj i jéj rodziców.

Usłuchałem rady mera. Z wielką uwagą odczytałem cały kontrakt. Pomyślałem. Poznałem, że jestem ofiarą zmowy, ułożonéj przez Jaksę, Cochona i jakieś nieznane mi figury; że panna Filipina została mi podstawioną jako wędka; że dałem się wystrychnąć na dudka przez oszustów. Przyszedłszy do tego przeświadczenia, położyłem kontrakt na stole, wziąłem kapelusz do ręki i głośno a dobitnie powiedziałem:

— Ja tego nie podpiszę...

Skłoniłem się i ku drzwiom się zwróciłem. We drzwiach spotkałem się z *maitre d'hotel*, trzymającym w ręku mój weksel. Zrozumiałem co to znaczy i zatrzymałem się. W téj chwili dopędził mnie Jaksa, za ramię pochwycił, obrócił, do stołu podprowadził i ukazując na kontrakt palcem, rozkazującym tonem rzekł:

— Podpisz!...

— Bez gwałtu!... — dość groźnie odezwał się mer.

Panna Filipina blada była i zmięszana — biedna dziewczyna, co ona winna! Pani Cochon wzrok gniewem strzelał. Pan Cochon próbował mnie reflektować:

— Skompromitowałeś pan pannę... Zastanów się... To nie uchodzi... Możemy z sobą pomówić... Można będzie coś spuścić, warunki złagodzić... Dają panu gotówką tysięcy dwanaście, dadzą dwadzieścia... Oto czeka na pana *maitre d'hotel*, a tam za nim żandarmi... Zastanów się... Pójdziesz do więzienia.

Nie byłem w stanie na odpowiedź się zdobyć. Ten człowiek, którego przed chwilą tak szanowałem, stał się dla mnie, z powodu że matkę moję chciał skrzywdzić, najobrzydliwszym pomiędzy obrzydliwymi. Odwróciłem się od niego, poszedłem wprost do *maitre d'hotel* i powiedziałem mu:

— Jestem pańskim dłużnikiem.... Zapłacić nie mogę... Oddaję się na pańskie rozporządzenie...

— Bardzo mi to przykro... — była jego odpowiedź. — Postąpię z panem według prawa i to tylko na pocieszenie pańskie dodam, że prawo nie z samym panem będzie miało do czynienia... Ta sprawa pójdzie daléj...

* * *

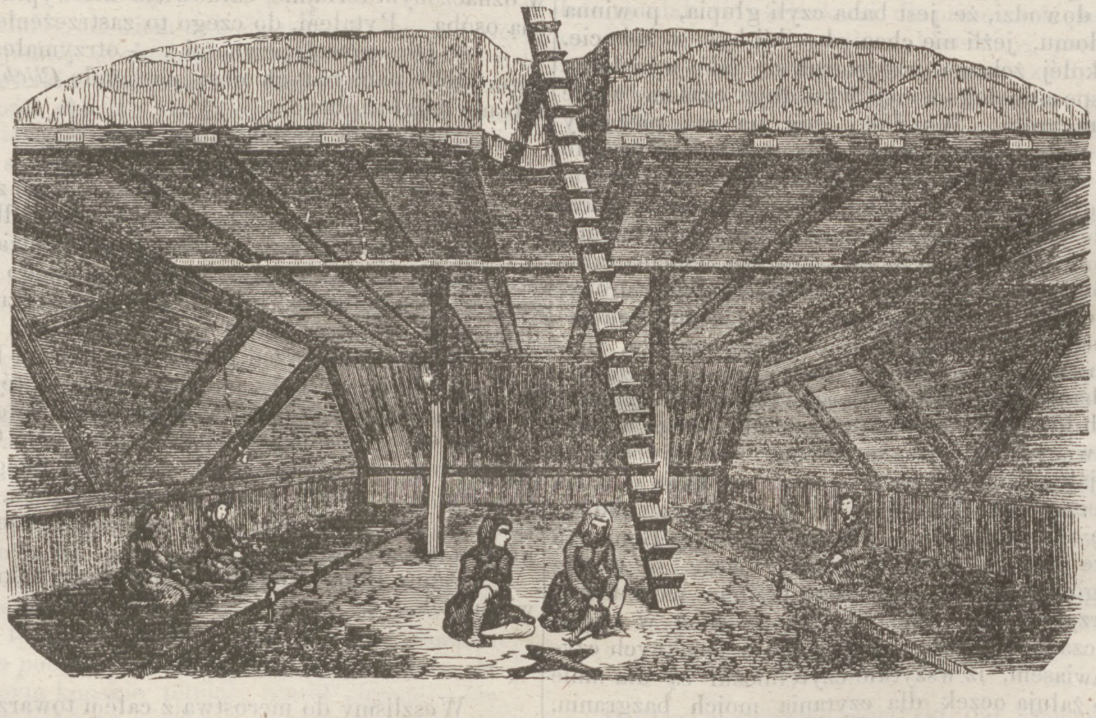
Przed udaniem się do kozy, widziałem całe weselne towarzystwo przez żandarmów otoczone i dokądeś poprowadzone. W przechodzie pani Cochon utraktowała mnie wyrazem „*coquin*," a Jaksa cisnął mi wyraz „dureń." Panna Filipina płakała.

Następnie siedziałem w Clichy i z Clichy stawałem przed sądem jako świadek w procesie o oszustwo, wytoczonym towarzystwu, złożonemu z siedmiu osób, w liczbie których figurował i mój przyjaciel i mentor.

O! dużo też miałem kłopotów, utrapień i zmartwienia, zanim zdołałem przy pomocy grosiwa przez poczciwą matkę przysłanego, na wolność się wydobyć i do Kopystyniec powrócić.

— A wiecie dla czego opowiedziałem wam ten ustęp z mego życia? — oto, dla tego, ażebyście synów waszych kochali inaczéj, aniżeli moi rodzice mnie; ażebyście starali się dawać im wychowanie poważne, gruntujące dobre zasady i wytykające życiu piękny cel; ażebyście wpajali w nich pojęcia o obowiązkach obywatelskich, pojęcia nadające majątkom przeznaczenie inne, aniżeli używanie i nadużywanie.

Iluż to mój Boże młodych ludzi, z pod troskliwéj opieki głupich rodziców w świat puszczonych, marnie puściło majątki, przelewając je do kieszeni takich Jaksów i Cochonów!... O! gdyby te wszystkie roztrwonione po wszystkich zakątkach Europy fundusze, można było odebrać! Ja jeszcze — strwoniłem niewiele, bo stosunkowo niewiele miałem do strwonienia. Ale, inni... miliony! Miliardy naszego grosza — naszego!... rozumiecie?—poszły na opłacenie oszustów i podtrzymywanie rozpusty....



Wnętrze mieszkania na Kamczatce (str. 187).

Zasady i pojęcia — oto, co rodzice powinni w synów wpajać. Wierzcie mi, człowiek z zasadami i pojęciami jest jak koń ostro podkuty. Można go puszczać choćby na lód — nie upadnie.

* * *

Staś jeszcze gadał i gadał; ale że wpadł na tor moralizacyjny, więc... nie ma co tego powtarzać.

KONIEC.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 1 (13) Іюня 1871 г. — Redaktor, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.